JADWIGA KIWERSKA
Poznań

USA – OSAMOTNIONE SUPERMOCARSTWO W ŚWIECIE ZAGROŻEŃ

Największy dylemat, przed jakim stanęła amerykańska polityka na początku XXI w., dotyczy tego, w jaki sposób zagwarantować Stanom Zjednoczonym Ameryki bezpieczeństwo w świecie, w którym wprawdzie nie ma zagrożenia komunistycznego, a USA uzyskały rangę jedynego supermocarstwa, ale w którym pojawiły się nowe groźby i wyzwania, dotykające ten kraj w sposób wyjątkowy. Trudno nie zgodzić się z Henrym A. Kissingerem, który upatruje współczesne zagrożenie bezpieczeństwa w dwóch bezprecedensowych czynnikach: terrorze, uznawanym do niedawna za problem dla sił policyjnych poszczególnych krajów, a nie dla polityki zagranicznej oraz w postępie naukowym i szerokiej możliwości upowszechniania najnowszych osiągnięć, co powoduje szybsze rozprzestrzenianie się niestabilności i łatwiejszy dostęp do niebezpiecznych zdobyczy i odkryć.

Tak więc, choć dzisiejsze USA wydają się silniejsze niż np. pod koniec lat 80. ubiegłego stulecia, to jednak świat nie stoi w miejscu i wyzwala siły, które w sposób bezprecedensowy zagrażają jedynemu supermocarstwu. Nie ma więc przesady w stwierdzeniu, że przed polityką amerykańską stoi zadanie niemalże karkołomne. „Nigdy dotąd nie trzeba było prowadzić wojen bez frontów ani geograficznych definicji i jednocześnie odbudowywać podstawowych zasad światowego ładu w miejsce tych tradycyjnych, które rozwiały się z dymem pogorzeliska *World Trade Center* i *Pentagonu*"[1].

Nie bez słuszności porównuje się sytuację administracji George'a W. Busha do tej, z którą musiał uporać się prezydent Harry Truman po zakończeniu II wojny światowej. Przynajmniej biorąc pod uwagę ogrom i stopień trudności stojącego przed prezydentem zadania. W 1945 r. takim zagrożeniem globalnej równowagi oraz wyzwaniem dla demokracji i wolnego świata był Związek Radziecki i komunizm. Podobnie obecnie jak i wówczas, Stany Zjednoczone dysponowały ogromną potęgą, i to zarówno w sensie gospodarczym, technologicznym, jak i militarnym. Wówczas też cieszyły się rangą mocarstwa wzorcowego. Chodziło nie tylko o znaczący wkład Stanów Zjednoczonych w pokonanie wroga i ostateczne

[1] H. A. Kissinger, *Dyplomacja w świecie dżihadu*, „Rzeczpospolita" 31 XII 2004 – 2 I 2005.

Przegląd Zachodni, nr 1, 2005 Instytut Zachodni

zwycięstwo, ale o wzorzec demokracji zdolnej do utrzymania wysokiego poziomu gospodarczego, swobód politycznych, zapewniających funkcjonowanie porządku i prawa. USA wzbudzały strach, ale też poważanie i podziw. Stany Zjednoczone musiały zatem, nawet wbrew utrzymującym się tendencjom izolacjonistycznym w kraju, podjąć się zadania obrony wolnego świata, zbudowania dla niego systemu bezpieczeństwa, powstrzymania ekspansji komunizmu, zagrażającego potędze USA i ich interesom. Wynikało to z potrzeby chwili, gdyż tradycyjnie wielkie mocarstwa europejskie ustępowały ze sceny i jedynie USA mogły zapełnić powstałą w ten sposób próżnię i podjąć wyścig ze Związkiem Radzieckim.

W latach 40. podołanie temu wyzwaniu, choć wymagające ogromnego wysiłku, wydawało się możliwe. Radzieckie zagrożenie było bowiem konkretne i definiowalne w kategoriach geograficznych i politycznych. Udało się więc w ramach doktryny powstrzymywania zbudować linie obronne, biegnące przez środek Europy i oparte na Pakcie Północnoatlantyckim, czerpiącym swą potęgę z zasobów amerykańskich. Udało się też zrealizować program gospodarczy, którego zadaniem była likwidacja rozziewu między społecznymi oczekiwaniami a trudnościami powojennej gospodarki w Europie i tym samym zapewnienie wewnętrznej stabilności. To, co w dziedzinie wojskowej i politycznej dokonało *NATO*, w sferze ekonomicznej zrealizował plan Marshalla: z jednej strony pogłębił zrodzony w 1945 r. podział Europy na dwa przeciwstawne światy i związał Stany Zjednoczone z kontynentem europejskim, z drugiej zaś pozwolił Zachodowi, także na polu ekonomicznym i politycznym, odnieść zwycięstwo w starciu z komunizmem. Plan Marshalla pomógł zlikwidować zniszczenia, odbudować gospodarkę, przywrócić optymizm, wreszcie umocnić rangę Stanów Zjednoczonych w wolnym świecie. Wprawdzie wojna wietnamska oraz inne porażki polityki amerykańskiej naruszały wizerunek tego giganta, jednak finał zimnej wojny był bez wątpienia zwycięski dla USA. Na polu boju pozostały jako jedyne supermocarstwo.

Ten jednobiegunowy porządek pozimnowojenny, choć skłaniał do niezwykle optymistycznych prognoz, jak np. o powstawaniu „świata bez historii", czyli bez konfliktów i wojen[2], równocześnie rodził wiele wątpliwości i obaw. Spodziewano się, że elementy zimnowojennego porządku geopolitycznego, zmieniając swój charakter i burząc tym samym dotychczasową strukturę, będą przekazywały w spadku stare wyzwania oraz rodziły nowe zagrożenia. Zresztą bieg wydarzeń – zadawnione spory, nowe konflikty i procesy – zburzyły wiele z tych optymistycznych prognoz, obalając też mity o „końcu historii". Już wówczas na początku lat 90. ubiegłego stulecia pisano, że przed amerykańską polityką, pomimo z pozoru lepszej sytuacji – wszak imperium radzieckie runęło – stoi ogromne zadanie określenia na nowo roli USA nie tylko w Europie, ale i w świecie, wypracowania porządku międzynarodowego, odpowiadającego nowym oczekiwaniom, sprostania zobowią-

[2] Nawiązanie do pracy F. Fukuyamy, *The End of History*, „The National Interest" Summer 1989, No 16 (*Koniec historii*, Poznań 1996).

zaniom, jakie nakłada status jedynego supermocarstwa, w taki sposób, aby nie budziło to obaw i zastrzeżeń[3].

Prezydent William J. Clinton, któremu przyszło odpowiedzieć na te pytania, doszedł w 1992 r. do władzy pod hasłem *It's economy, stupid*, co było sprytną trawestacją hasła izolacjonistów amerykańskich z lat dwudziestych *America First*. Jednak to właśnie Clinton spowodował, że USA utrzymały rolę lidera w świecie, inicjującego nieraz nawet bezprecedensowe akcje militarne (Kosowo) w obronie zasad i wartości wolnego świata. Odgrywały też rolę kreatora nowego ładu międzynarodowego (rozszerzenie *NATO*), w którym pełniły rolę przywódczą. Administracja Clintona była zmuszona podejmować wyzwania, których skala i skutki nie były jeszcze do końca sprecyzowane. Rosnące zaniepokojenie budziło przede wszystkim zagrożenie terroryzmem i proliferacja broni masowego rażenia. Waszyngton oczekiwał, że w walce z tymi zagrożeniami będzie mógł oprzeć się – podobnie jak było to w okresie zimnej wojny – na swoich zachodnioeuropejskich sojusznikach. Doświadczył jednak rozczarowania, gdy np. okazało się, że jego plan ataku lotniczego na Irak w styczniu 1998 r. zyskał pełne poparcie jedynie Brytyjczyków. Także amerykańska sekretarz stanu Madeleine Albright nie zdołała – pomimo wysiłków – nakłonić wszystkie państwa członkowskie *NATO*, aby stały się partnerami Stanów Zjednoczonych w skali globalnej, poza tradycyjnym obszarem obowiązywania traktatu waszyngtońskiego (czyli np. w Zatoce Perskiej). Były więc nowe wyzwania, ale w pozimnowojennych warunkach było już znacznie trudniej oprzeć się na dotychczasowym układzie sojuszniczym.

To, co w okresie prezydentury Clintona było jeszcze nie w pełni sprecyzowanym zagrożeniem oraz nie do końca ujawnionymi nowymi elementami sytuacji międzynarodowej, podczas pierwszej kadencji George'a W. Busha stało się wyraźne i naprawdę groźne. Spowodowało, że właśnie Bush junior stanął przed zadaniem najbardziej przypominającym wielkie wyzwanie sprzed ponad półwiecza. W tym kontekście warto podkreślić fakt, że program wyborczy republikańskiego kandydata na urząd prezydencki w 2000 r., w tych nielicznych punktach odnoszących się do polityki zagranicznej, nie wskazywał, aby Bush był w stanie takim zadaniom podołać. Raczej demonstrował on ogólną niechęć do zajmowania się problematyką międzynarodową, co w dużej mierze wynikało z jego ignorancji w sprawach polityki zagranicznej[4]. Dlatego też republikański kandydat wzywał USA do większej powściągliwości w działaniach na arenie międzynarodowej i liczenia się z reakcją świata. „USA nie mogą być wszystkim dla wszystkich.

[3] Zob. S. Hoffmann, *A New World and Its Troubles*, „Foreign Affairs" Fall 1990, No 4, s. 115-122; R. Lugar, *NATO: Out of Area or Out of Business*, U.S. Policy Information and Texts, 8 VII 1993, s. 31-42; B. C. Schwarz, *„Cold War" Continuities: US Economic and security Strategy Towards Europe*, „The Journal of Stategic Studies" December 1994, No 488 i n.; tenże, *NATO at the Crossroads – Re-Examining America's Role in Europe*, RAND Issue Paper, January 1994.

[4] Zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of America's Foreign Policy*, The Brookings Institution, Washington 2003, s. 3.

Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy aroganccy, to będą nas jako takich traktować, a jeśli będziemy skromni (*humble*), będą nas szanować"[5] – dowodził Bush.

Z drugiej jednak strony nie można zapominać, że także Truman, obejmując po zmarłym nagle Franklinie D. Roosevelcie urząd prezydenta, niewiele wiedział o polityce zagranicznej, a przecież to właśnie on – zmuszony okolicznościami – zaprojektował strategię, która odniosła sukces w zimnej wojnie. Bush stanął wobec podobnej konieczności po 11 września 2001 r.[6]

NOWY TERRORYZM

Trudno w pełni zrozumieć przesłanki zachowań amerykańskich w świecie po 11 września 2001 r., jeśli nie pojmie się skali szoku, jaki doświadczyli Amerykanie i konsekwencji tego dla strategii amerykańskiej. Znaczenie tego wydarzenia dla Stanów Zjednoczonych i ich sposobu postrzegania świata jest nadal przedmiotem ożywionego dyskursu polityków, politologów i historyków. W każdym razie tragicznego dnia 11 września 2001 r. z całą mocą ujawniły się charakter i skala nowych wyzwań, jakie stanęły przed polityką amerykańską.

Takiego ataku na własne terytorium USA nigdy jeszcze nie doświadczyły. Nawet uderzenie Japończyków 7 grudnia 1941 r. na Pearl Harbor było w sensie strategicznym, a także psychologicznym aktem o znacznie mniejszej doniosłości, gdyż odbyło się na peryferiach amerykańskiego terytorium – *de facto* na obszarze zamorskim. Tym razem uderzono w serce Stanów Zjednoczonych, grzebiąc iluzję Amerykanów, że ich kraj to forteca oddzielona od wszelkich nieszczęść wodami Pacyfiku i Atlantyku oraz chroniona bezprecedensową w dziejach potęgą militarną. Stało się to, co dotychczas było jedynie teoretyczną możliwością – USA zaatakowano na ich własnym terytorium. Zostały więc pozbawione najważniejszego atrybutu, który przez niemalże całe dzieje określał ich stosunek do świata zewnętrznego – poczucia bezpieczeństwa.

To poczucie własnego bezpieczeństwa powodowało, że Stany Zjednoczone po II wojnie światowej – bez zbytniej obawy o swe żywotne interesy – mogły angażować się na arenie międzynarodowej w stopniu, któremu nie dorównywała aktywność żadnego innego mocarstwa. Wypełniając ową misję – jak głoszono – w imię wartości, czyniono tak w przekonaniu, że nie spowoduje to uszczerbku dla podstawowego interesu kraju, czyli bezpieczeństwa[7]. Teraz wszystko uległo rady-

---

[5] The Second 2000 Gore-Bush Presidential Debate (www.debates.org/pages/trans2000a.html); zob. także Governor George W. Bush, A Distinctly American Internationalism, Ronald Reagan Library, Simi Valley, California (www.mtholyoke.edu/acad/intrel,bush/wspeech.ttm); I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution...*, s. 7-14.

[6] Zob. F. Bruni, *For President. A Mission and a Role in History*, „New York Times" 22 IX 2001.

[7] Zob. R. Dallek, *The Postwar World: Made in the USA*, w: S. J. Ungar (ed.), *Estrangement: America and the World*, New York 1985, s. 32 i n.

kalnej zmianie. Nowojorska hekatomba zniszczyła poczucie bezpieczeństwa, prysła iluzja, zapewne na zawsze. Okazało się, że Amerykanie w zakresie bezpieczeństwa nie mają żadnych szczególnych przywilejów, co więcej mają wrogów, trudnych nawet do zidentyfikowania.

Uświadomienie sobie, że ich kraj może być obiektem tak wielkiej nienawiści i wrogości – to następne przykre doświadczenie, jakie Amerykanie wynieśli z 11 września. Byli zszokowani faktem, że w ten sposób odbierane są ich dobre intencje (sprzyjanie wolności, demokracji i sprawiedliwości), zaskoczeni wrogością, jaką wzbudza amerykańska potęga w świecie, choć przez dziesięciolecia kraj ten dostarczał pomocy do najbardziej odległych zakątków kuli ziemskiej. Okazało się, że pełnienie roli jedynego supermocarstwa, którego wpływy rozciągają się na cały świat, rodziło w tym świecie lęk, niechęć i zawiść. A zatem bycie numerem jeden na świecie znaczyło, że jest się też celem numer jeden.

Amerykanie zostali też głęboko upokorzeni. Zamachowcy atakując *World Trade Center* i *Pentagon* pokazali, że nawet największa potęga nie może ochronić najbardziej spektakularnych symboli swej dominacji. Był to cios – w sensie psychologicznym – niezwykle bolesny.

Jednak największy problem polegał na tym, że przeciwnik nie był do końca zidentyfikowany, trudno go było definiować w kategoriach geograficznych czy politycznych. Terror jako sposób prowadzenia walki politycznej przy użyciu przemocy jest tak stary jak ludzkość. Celem terrorystów byli politycy, ośrodki władzy, urzędy, sztaby wojskowe, ale także ludność cywilna. Chodziło z reguły o destabilizację społeczeństwa, wytworzenie psychozy, porażenie i załamanie, podważenie demokratycznych struktur państwa[8].

Al Kaida, uderzając 11 września 2001 r. na najbardziej eksponowane ośrodki gospodarcze, polityczne i wojskowe Stanów Zjednoczonych dowiodła, że stanowi zagrożenie na ogromną, niespotykaną dotąd skalę. Zdumienie budziła precyzja i koordynacja operacji w czasie i przestrzeni. Cel osiągnięto nie tylko dzięki fanatycznej determinacji porywaczy, ale również umiejętności posługiwania się najnowocześniejszymi osiągnięciami techniki. Nie bez racji więc nazwano atak na Amerykę rzeczywistym początkiem XXI w.

Uprawiany przez organizację Osamy bin Ladena i podobne jej grupy terroryzm miał zupełnie inny charakter, niż ten, z którym świat miał do czynienia wcześniej. Po pierwsze, po ataku na Nowy Jork i Waszyngton wiadomo było, że celem zamachowców nie jest już tylko kilkunastu pasażerów, jak było np. na lotnisku w Mediolanie, zgładzonych przez Czerwone Brygady w końcu lat 60., czy kilkudziesięciu klientów, którzy zginęli w barcelońskim supermarkacie od bomby podłożonej przez baskijskich separatystów, ale setki, a nawet tysiące niewinnych ofiar. Chodziło o kolosalne straty materialne i osobowe. Liczył się bowiem efekt, im bardziej porażający – tym lepiej.

[8] W. Laquer, *No End To War: Terrorism in the Twenty – First Century*, New York 2000, *passim*.

Po drugie, w latach 70. – okresie wyjątkowego natężenia zamachów terrorystycznych w świecie – i później, w latach 80., porywając samoloty, atakując wrogie posterunki, siedziby władz czy miejsca publiczne terroryści palestyńscy, baskijscy z *ETA* lub irlandzcy spod znaku *IRA* stawiali wyraźne żądania polityczne. Przy całej ich brutalności można było dostrzec też elementy jakiejś racjonalności i proporcjonalności metod oraz celów. Teraz terroryści nie stawiali żądań. Atakowali, dokonywali zamachów, zabijali i albo znikali, albo ginęli w samobójczych uderzeniach. „Wy kochacie życie, my kochamy śmierć" – zdawało się brzmieć przesłanie tego nowego terroryzmu. Celem nie było wymuszenie czegoś lub zajęcie terytorium, zemsta czy odwet, lecz sianie zniszczenia. Porwano samoloty i roztrzaskano je o wieżowce *WTC*. Nikt niczego nie żądał. Mógł natomiast uderzyć ponownie, równie, a może i bardziej skutecznie.

Po trzecie, al Kaida dowiodła też, że skończyła się walka słabych z silnymi, a rozpoczęła wojna silnych z bardzo silnymi. Co gorsza, był to przeciwnik gotowy na wszystko, który nie stosuje żadnych reguł. Choć wiadomo było, że jest to fundamentalista pragnący narzucić całemu światu utopię, a jeśli się nie uda, to świat ten zniszczyć, to jednak w rzeczywistości wróg ten nie był do końca zidentyfikowany. Zapowiadała się więc walka z „armią cienia". Bo stało się to, co później Kissinger, nazwał „prywatyzacją" polityki zagranicznej. Ataku na Stany Zjednoczone dokonały siły niekontrolowane przez żaden rząd, choć korzystające z potajemnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych państw. Już to utrudniało identyfikację wroga i komplikowało walkę.

Wiadomo, że w takiej sytuacji nie będzie skuteczna strategia odstraszania – tak ważna w okresie zimnej wojny, gdy trzeba było szachować Związek Radziecki i która sprawdziła się w amerykańskim wykonaniu. Dawniej potencjalnym agresorem były państwa silne, które można było obserwować, monitorować, reagować na ewentualne zagrożenia i odstraszać. Można było – nawet z Moskwą – negocjować, dochodzić do wspólnych ustaleń, zawierać kompromisowe porozumienia. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, wydaje się jednak bezskuteczna w odniesieniu do grup, którym obcy jest kompromis, gdyż uprawiają swego rodzaju rewolucyjną politykę zagraniczną wyrosłą na fanatyzmie i nienawiści. Tak więc zimnowojenna strategia zdezaktualizowała się, ponieważ odstraszanie jest nieskuteczne wobec przeciwnika nie posiadającego terytorium, którego musiałby bronić, a dyplomacja jest bezradna, gdy przeciwnik odrzuca jakiekolwiek ograniczenie celów i dąży do całkowitego zniszczenia.

Ponadto fundamentalisty nie da się przekupić, zastraszyć czy przekonać racjonalnymi argumentami. Śmierć samobójcza w zamachu terrorystycznym jest dla niego przepustką do raju. Chwała męczenników, którzy polegli w eksplodujących samochodach czy samolotach, napędza kolejnych bojowników świętej sprawy, gotowych zginąć w podobny sposób.

Po czwarte, zestaw nowych środków, które mogli użyć terroryści, był oszałamiający: cały arsenał broni masowego rażenia, łatwiejszy teraz do rozprzestrzenia-

nia, wirusy komputerowe, generatory poddźwiękowe, niezwykle silnie oddziałujące na ludzkie organizmy itp. – to terroryzm nowej generacji. Szybki obieg informacji ułatwiający dostęp do najnowocześniejszych środków technicznych i wysokiej technologii, którą – jak okazało się – mogli również doskonale posłużyć się muzułmańscy terroryści, stawał się zagrożeniem dla cywilizacji, która tych wszystkich osiągnięć dokonała.

Wreszcie po piąte i być może najważniejsze, nie bez racji uderzenie na symbole amerykańskiej potęgi i amerykańskiego (zachodniego) stylu życia zmuszało, aby powrócić do głośnej swego czasu tezy Samuela P. Huntingtona, wyrażonej w eseju *The Clash of Civilization?*[9] Amerykański politolog przepowiadał w niej światu nowe zagrożenie: wiek XXI będzie zderzeniem cywilizacji, gdyż w konfliktach światowych znaczącą rolę zacznie odgrywać czynnik kulturowy. Ludzkimi poczynaniami kierować będzie nie tyle głód chleba, co pragnienie tożsamości, poszukiwanie wspólnych dla danej grupy symboli, tradycji, więzi religijnych. Globalizacja nie pociągnie za sobą westernizacji: upowszechnienia się ideałów świata zachodniego. Wprost przeciwnie, każdy z kręgów cywilizacyjnych będzie zabiegać o umocnienie swojej spoistości i dominacji, a tam, gdzie ich interesy będą ze sobą kolidować (zwłaszcza na styku cywilizacji zachodniej z islamską) nieuchronnym rozwiązaniem będzie wojna.

Nie tylko przedstawiciele myśli konserwatywnej w świecie poszli tropem Huntingtona i atak al Kaidy oraz ten nowy terroryzm odczytali jak forpocztę wojującego islamu: „religii – ideologii totalnej", którego zadaniem jest zniszczenie cywilizacji zachodniej, rozprawienie się z chrześcijaństwem i triumf wiary Mahometa. Ta święta wojna z Zachodem – *dżihad* ma na celu stworzenie państwa – królestwa, w którym podstawą będą nauki Koranu. W takim duchu pisała też słynna włoska dziennikarka i publicystka, niegdyś mocno lewicująca Oriana Fallaci: „fanatycy islamscy chcą zabijać nas i nasze dzieci tylko dlatego, że pijemy wino lub piwo albo nie nosimy długiej brody lub czarczafu". Jej słynny artykuł *Wściekłość i duma* był apelem o przebudzenie się świata zachodniej cywilizacji i podjęcie walki z islamem[10].

Włoska pisarka miała słuszność przynajmniej w części. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że bin Ladenowi chodziło o wywołanie starcia cywilizacyjnego pomiędzy Zachodem a światem muzułmańskim. Chciał najprawdopodobniej wywołać antyzachodni odruch „arabskiej ulicy" i sprowokować Zachód do walki totalnej ze światem islamu. „Kilkunastu ludzi uzbrojonych w plastikowe noże za pomocą największych i najnowocześniejszych samolotów w Stanach Zjednoczonych zwaliło największe budynki w kraju tylko po to, aby zwerbować światową armię mediów i sprowokować tę prawdziwą armię amerykańską do działań. Jej uderzenie na kilka

[9] S. P. Huntington, *The Clash of Civilization?* , „Foreign Affairs" Summer 1993, No 3, s. 22-49; zob. też B. R. Barber, *Dżihad kontra McŚwiat*, Warszawa 2001, *passim*.

[10] W polskiej wersji: O. Fallaci, *Wściekłość i duma*, „Gazeta Wyborcza" 6-7 X 2001.

krajów muzułmańskich i śmierć wielu niewinnych muzułmanów byłoby otwarciem drogi do wojny między Ameryką (Zachodem) a cywilizacją islamu" – pisał wybitny amerykański publicysta Jonathan Schell[11].

NOWA DOKTRYNA

A zatem od tego, w jaki sposób świat odpowie na wyzwanie rzucone 11 września 2001 r., zależało w dużej mierze powodzenie celów bin Ladena. Największa odpowiedzialność spoczęła na Stanach Zjednoczonych. Bo, co do tego, że Ameryka odpowie terrorystom, nikt nie miał wątpliwości. Atak na *WTC* i *Pentagon* uznano bowiem za wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym. Chodziło nie tylko o odwet, ale przede wszystkim o przywrócenie poczucia bezpieczeństwa. Amerykańskie supermocarstwo znalazło się w stanie gniewu i lęku.

Spodziewano się, że będzie to wojna długotrwała, skomplikowana, wymagająca ofiar i być może pozbawiona spektakularnych sukcesów. Amerykanie zdecydowali się jednak ją podjąć. Występując przed Kongresem USA 20 września 2001 r. prezydent Bush zapowiadał: „Nasza odpowiedź nie ograniczy się do nagłego odwetu i pojedynczych uderzeń. Amerykanie nie powinni spodziewać się jednej bitwy, lecz długiej kampanii niepodobnej do żadnej z dotychczasowych. (...) Żeby pokonać i zniszczyć globalną sieć terrorystów, użyjemy wszelkich dostępnych środków, wszelkich narzędzi i metod dyplomacji, wywiadu, egzekucji prawa, nacisku finansowego, a także każdej broni, która okaże się konieczna"[12].

Tak więc reakcja na 11 września zapoczątkowała nową amerykańską strategię – tak jak kiedyś walkę z komunizmem, tak teraz wojnę z terroryzmem uczyniono absolutnym priorytetem polityki Stanów Zjednoczonych. W ten sposób aktywna polityka zagraniczna USA stała się dyplomatycznym narzędziem bezpieczeństwa narodowego. Wojna z terroryzmem – ze względu na charakter zagrożenia – wymagała jednak nowej taktyki. Stratedzy Białego Domu (tzw. neokonserwatyści) odrzucając pomysły o „powściągliwości i skromności" w polityce zagranicznej uznali, że zaatakowane Stany Zjednoczone powinny mieć swobodę działania, nawet jeśli idzie o użycie siły. Po drugie, zakres tej wojny miał być szeroki i to pod kilkoma względami. Zdecydowano się wypowiedzieć walkę nie tylko organizacjom terrorystycznym, ale również wspierającym je ośrodkom i państwom, które stwarzają, bądź mogą stworzyć, zagrożenie strategiczne dla USA. Występując 29 stycznia 2002 r. z orędziem o stanie państwa prezydent użył formuły „oś zła", zaliczając do niej Koreę Północną, Irak i Iran[13].

---

[11] J. Schell, *Niebezpieczeństwo własnej potęgi*, „Gazeta Wyborcza" 2 X 2001.

[12] G. W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001 (www.whitehouse.gov./news/releases/2001/09/20010920-8.html).

[13] G. W. Bush, State of the Union Address: January 29, Washington, The White House, January 2002.

Później, w ramach tzw. doktryny Busha, ogłoszonej we wrześniu 2002 r. jako narodowa strategia bezpieczeństwa, pojawiła się formuła uderzenia uprzedzającego potencjalną agresję, czyli wojny prewencyjnej (*preemptive strike*)[14]. Państwa, wielokrotnie w historii, podejmowały działania wyprzedzające, jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę. Dlatego ogłoszenie narodowej strategii bezpieczeństwa nazwano najodważniejszym publicznym wystąpieniem w amerykańskiej polityce od 1947 r., czyli od czasu proklamowania doktryny Trumana[15]. Amerykańscy stratedzy uznali, że w epoce rozprzestrzeniania się broni o ogromnej mocy rażenia i w świecie „sprywatyzowanego" terroryzmu, gdy obowiązująca od zakończenia II wojny światowej polityka odstraszania nie chroni już przed atakami, konieczne może okazać się działanie prewencyjne. „Doktryna prewencji jest prosta i jasna – dowodził Richard Perle, członek Rady Polityki Obronnej Departamentu Obrony USA. Jeśli grozi nam atak, zastrzegamy sobie prawo do powstrzymania go. (...) Na pewno nie wolno czekać, aż będzie za późno. A tak, niestety, zachowaliśmy się przed 11 września 2001 r."[16] Zaś H. Kissinger przekonywał, że koncepcja działania prewencyjnego jest cechą nowego ładu międzynarodowego bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu[17].

Innym elementem „doktryny Busha" była możliwość zerwania z taktyką multilateralizmu, czyli działań wielostronnych. W minionym półwieczu Stany Zjednoczone realizowały swoje cele w świecie poprzez przymierza, sojusze oraz instytucje o globalnym zasięgu. Prowadziły wprawdzie też działania „na własną rękę", ale politycznym imperatywem Waszyngtonu było pozyskiwanie partnerów oraz tworzenie sojuszy w celu skutecznego stawiania czoła nowym wyzwaniom. Także działania militarne podejmowano we współpracy i najchętniej z mandatem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tak działał Clinton, choć trudno byłoby jego administrację posądzać o nieograniczony entuzjazm dla działań wielostronnych, zwłaszcza wówczas, gdy np. ONZ wiązała ręce Stanom Zjednoczonym (choćby w Bośni i Hercegowinie)[18].

Jednak narodowa strategia bezpieczeństwa głosiła już wyraźnie, że Stany Zjednoczone są gotowe współpracować z sojusznikami, ale zastrzegają sobie prawo do akcji samodzielnych. Zakładano też możliwość ignorowania wspólnoty międzynarodowej. Twierdzono, że Rada Bezpieczeństwa NZ odzwierciedla realia 1945 r., nie spełnia też oczekiwań USA, może bowiem sparaliżować ich działanie. Widząc

---

[14] *The National Security Strategy of the United States*, Washington, The White House, September 2002.

[15] Zob. I. H. Daalder, *The Bush Revolution...*, s. 34-35.

[16] Wywiad – R. Perle: *Nie wolno czekać, aż będzie za późno*, „Rzeczpospolita" 8-9 III 2003; zob. także wypowiedź G. W. Busha, Press Conference with Prime Minister Tony Blair, January 31, 2003 (www.whitehouse.gov./news/releases/2003/01/20030131-23.html).

[17] H. A. Kissinger, *Dyplomacja w świecie dżihadu...*

[18] Zob. J. Kiwerska, *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku*, Poznań 2000, s. 48-54.

nieskuteczność ONZ, odmawiamy poparcia – mówili amerykańscy dyplomaci. Innymi słowy, Waszyngton będzie postępować tak, jak zechce, dobierając sobie sprzymierzeńców w zależności od sytuacji – misja ma określać koalicję, a nie koalicja misję – i nie oglądając się na przyzwolenie wspólnoty międzynarodowej, ponieważ oznacza to ryzyko wiązania sobie rąk, a daje jedynie niewiele znaczący mandat polityczny.

Wprawdzie, gdy atakowano Afganistan w październiku 2001 r., chcąc pojmać ukrywającego się tam bin Ladena, rozbić al Kaidę i obalić wspierający ją reżim talibów, Stany Zjednoczone czyniły to pod sztandarem koalicji i z mandatem ONZ. Wynikało to z faktu, że prezydent Bush – tuż po uderzeniu na Stany Zjednoczone – zdecydował się uczynić wojnę z terroryzmem wojną wspólną, prowadzoną z sojusznikami, partnerami, wszystkimi tymi siłami, które gotowe były go poprzeć. Uznał bowiem, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia powiedzie się jedynie wspólne działanie. Ale też świat gotowy był wówczas włączyć się do tworzonej koalicji antyterrorystycznej, kierując się nie tylko odruchem współczucia i solidarności ze Stanami Zjednoczonymi, ale również poczuciem zagrożenia. Uświadomiono sobie skalę wyzwania, któremu nie oparła się nawet największa w świecie potęga militarna. Stąd np. bezprecedensowe w dziejach *NATO* zastosowanie fundamentalnego art. 5 traktatu waszyngtońskiego („jeden za wszystkich, wszyscy za jednego"), poparcie Rosji i jej byłych republik dla planów uderzenia na Afganistan, przystąpienie do koalicji Pakistanu, Indii, krajów arabskich, Chin, uzyskanie mandatu ONZ. Choć należy przyznać, że prezydent USA, mówiąc „jesteście z nami albo przeciw nam", tak naprawdę nie pozostawił szerokiego marginesu swobody[19].

W każdym razie, Stany Zjednoczone miała w owych dniach siłę moralną, której skala przewyższała nawet tę, wykreowaną na frontach II wojny światowej. Zaś Bush junior stanął przed szansą przejścia do historii nie tylko jako prezydent rządzący krajem w momencie najgorszego ataku terrorystycznego, ale i jako przywódca, który potrafił przekształcić dramatyczną sytuację w coś konstruktywnego, może nawet zmieniającego pozytywnie świat, a przede wszystkim jako ten, który wykreował strategię – zwycięską w wojnie z terroryzmem. USA – pisano – mają już za sobą jedną zwycięską wojnę o serca i umysły – pokonały komunizm. Czy i w tej kolejnej walce z terroryzmem okaże się zwycięzcą?

NOWE PROBLEMY

Interwencja w Afganistanie, choć nie doprowadziła do ujęcia przywódcy al Kaidy, to jednak zakończyła się pomyślnie. Dowiodła roli i znaczenia siły w działaniach zewnętrznych, rangi Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa,

[19] G. W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001.

odwagi i determinacji ich polityków. Nikt inny nie mógł przeprowadzić tak wielkiej operacji powietrznej daleko od swych granic, ponieważ nikt nie miał tak wielkiej liczby lotniskowców i nowoczesnych samolotów, np. tankujących w powietrzu. Jedynie Stany Zjednoczone dysponowały tak doskonałym wywiadem satelitarnym, co umożliwiało dokładne namierzanie celów i koordynowanie działań także na lądzie. W efekcie ten pierwszy etap walki z terroryzmem można było uznać za zwycięski.

Zwycięstwo to Stany Zjednoczone mogły śmiało przypisać sobie. Bowiem prowadziły wojnę w Afganistanie głównie samodzielnie (jedynie Brytyjczycy zaznaczyli swój duży wkład wojskowy), wchodząc najwyżej w dwustronne relacje z niektórymi członkami *NATO*, ale nie konsultując z nimi większości decyzji. Mogło się tak stać, gdyż dominacja militarna USA nad sojusznikami była tak duża, że pomoc z ich strony potrzebna była raczej w wymiarze symboliczno-politycznym. To bardziej Rosja z różnych względów, nie wyłączając doświadczenia afgańskiego z czasów radzieckiej inwazji na ten kraj, była dla Waszyngtonu w tym czasie ważniejszym sojusznikiem strategicznym, choć o ograniczonym zaufaniu[20].

Poza tym Waszyngton zdawał sobie sprawę, że pomimo pierwszych deklaracji poparcia, planowana interwencja w Afganistanie spotkała się z różnymi reakcjami, np. w niektórych stolicach europejskich. Krytycy, zwłaszcza z kręgów elity intelektualnej, ale też politycznej, podnosili racje moralne przemawiające – ich zdaniem – przeciwko wojnie z talibami, kwestionowali argumenty polityczne uzasadniające atak na Afganistan, dowodzili, że jest to zwykła awantura prowokowana – podobnie jak w latach zimnej wojny – przez waszyngtońskich „jastrzębi". Zatem w sytuacji, gdy chodziło o żywotny interes amerykański – bezpieczeństwo – USA nie chciały ryzykować, wypuszczając z rąk kierowanie kampanią i poddając się kunktatorstwu niektórych przywódców europejskich.

Wszakże z drugiej strony, biorąc pod uwagę względy formalne, była to akcja międzynarodowa, a zaangażowane w koalicję antyterrorystyczną państwa były gotowe do szerszej współpracy, przynajmniej taką wolę deklarowały, nawet Francja. Tymczasem zostały one zignorowane w trakcie podejmowania strategicznych decyzji i wykorzystane głównie jako zaplecze polityczne. Odnosiło się to zarówno do *NATO*, któremu – jak twierdzono – wysłano czytelny sygnał, że „USA was nie potrzebują", jak i do ONZ, która legitymowała akcję w Afganistanie. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, była to już wyraźna groźba marginalizacji *NATO*, stanowiącego filar tak ważnego dla porządku międzynarodowego partnerstwa transatlantyckiego.

W efekcie wyciągnięto różne wnioski z zakończonej pomyślnie afgańskiej kampanii przeciw talibom i al Kaidzie. Niektórzy przywódcy europejscy uznali, że USA ignorują sojuszników, działają arogancko i nie chcą dzielić się odpowiedzialnością. Amerykanie zaś, doceniając rolę siły w akcjach zewnętrznych, uznali

[20] Zob. B. Woodward, *Wojna Busha*, Warszawa 2003, s. 94-97.

Przegląd Zachodni, nr 1, 2005 Instytut Zachodni

możliwość realizowania celów w koalicji, ale również samodzielnie, gdyby nie udało się pozyskać partnerów[21].

O determinacji Waszyngtonu świadczyły plany wobec Iraku. Wpisywały się one w ową słynną „doktrynę Busha" o wojnie prewencyjnej i działaniu unilateralnym. Zwolennikom realizacji tej doktryny udało się na początku 2002 r. przekonać prezydenta Busha, że dla obrony bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych konieczne jest definitywne rozprawienie się z Saddamem Husajnem, unieszkodliwienie reżimu budującego – jak podejrzewano – śmiercionośne arsenały, a następnie demokratyzacja świata islamskiego. Bowiem w „doktrynie Busha" ważne miejsce zajmowała tradycyjna amerykańska retoryka mesjanistyczna. Wojna prewencyjna miała służyć nie tylko likwidacji zagrożeń, ale promowaniu światowego ładu opartego na demokratycznych i liberalnych wartościach. „Bezpieczeństwo musi opierać się na sile wojskowej, ale nie tylko na niej – dowodziła doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice. Żeby budować równowagę sił na rzecz wolności musimy poszerzać korzyści płynące z wolności i dobrobytu, jakim cieszą się kraje rozwinięte"[22].

Administracja amerykańska nie przypuszczała, że zarysowana w ten sposób strategia interwencji zbrojnej w Iraku wywoła spór, który ujawni wiele dawnych i nowych napięć w stosunkach z sojusznikami, partnerami, opinią światową, stawiając Stany Zjednoczone w niezwykle trudnej sytuacji na arenie międzynarodowej. Najbardziej krytyczne głosy płynęły z Europy, dowodząc, że część państw Starego Kontynentu – inaczej niż było z polityką odstraszania – odrzuca doktrynę Busha, widząc w niej szkodliwe elementy unilateralizmu, hegemonii i dominacji siły. Ten brak akceptacji ze strony Europy był dlatego tak groźny, że dotyczył najbliższych USA sojuszników. Był to rodzaj buntu przeciwko amerykańskiemu przywództwu, wypowiedzenie lojalności, na którą Waszyngton tak liczył w obliczu zagrożenia terroryzmem. Stawiało to Stany Zjednoczone w zupełnie nowej – znacznie bardziej skomplikowanej sytuacji.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że jedną z najważniejszych okoliczności, prowadzących do owego załamania w stosunkach transatlantyckich, była specyfika czasu pozimnowojennego. Złożyły się na nią dwa elementy. Po pierwsze, przez ponad pół wieku zainteresowanie amerykańskich i europejskich polityków koncentrowało się na sojuszu transatlantyckim, gdyż Europa była głównym teatrem konfrontacji Zachodu ze Związkiem Radzieckim. W tej sytuacji Stany Zjednoczone były protektorem i strażnikiem Europy Zachodniej, chroniąc ją przed zagrożeniem komunistycznym, a sojusznicy europejscy wspierali amerykańskie wysiłki na arenie międzynarodowej. Kiedy upadł mur berliński symbol zimnej wojny i komunizmu w Europie, zabrakło tego spoiwa, które tak ściśle łączyło oba światy. Zmieniły się także ich główne punkty zainteresowania. USA utrzymywały swoje zainteresowa-

[21] Zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution...*, s. 32.

[22] Wywiad – C. Rice, *Sprostać ideałom XXI wieku*, „Gazeta Wyborcza" 25 X 2002.

nia, nawet je poszerzając, ale najważniejsze wyzwania znalazły się poza Europą. Z kolei europejscy sojusznicy skoncentrowali się na procesie integracji i budowy silnej Unii Europejskiej, sprawy globalne pozostawiając Stanom Zjednoczonym. W efekcie oba te światy nie tylko przestały siebie potrzebować w dotychczasowym stopniu, ale też sojusz transatlantycki wydawał się bardziej kwestią wyboru niż konieczności[23].

Po drugie, sam proces integracji europejskiej wywarł silne piętno na perspektywach rozwoju partnerstwa transatlantyckiego. Z jednej strony koncentrował on w znacznym stopniu uwagę stolic europejskich na problemach związanych z tworzeniem wspólnej waluty, wspólnej polityki rolnej, osiągania europejskich standardów w różnych sferach polityki wewnętrznej. Unia Europejska weszła też w niezwykle ambitną fazę rozwoju związaną z przyjęciem nowych państw, w tym z Europy Wschodniej. Pociągało to za sobą ogromne koszty, wymagając też kolosalnych wysiłków. Wszystko to odbywało się bez udziału USA. Z drugiej strony, postępujący proces scalania kontynentu europejskiego wzmacniał poczucie niezależności od Stanów Zjednoczonych, potęgował ambicje polityczne i militarne w niektórych stolicach, czego wyrazem były próby tworzenie europejskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa oraz budowania autonomicznych wobec USA sił wojskowych. Te aspiracje jednoczącej się Europy stanowiły rodzaj wyzwania dla Stanów Zjednoczonych i ich obecności w Starym Świecie.

Te czynniki w dużej mierze zadecydowały o odmiennych reakcjach na główne dla USA zagrożenie. Dla Europejczyków atak z 11 września nie był wstrząsem na miarę doświadczenia amerykańskiego i większość z nich, gdy opadły emocje, nie zamierzała walce z terroryzmem podporządkować innych priorytetów swej polityki, zwłaszcza integracji. Na kontynencie europejskim brak było też powszechnej akceptacji dla wizji siłowych rozwiązań proponowanych w „doktrynie Busha", która ponadto zapewniała USA prawo do interweniowania – w tym prewencyjnego – zgodnie z założeniem: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. Europa stawiała głównie na rozwiązania dyplomatyczne i wykorzystanie struktur międzynarodowych, gdyż w tej formule czuła się – przynajmniej teoretycznie – równorzędna Stanom Zjednoczonym. Słabsza politycznie i wojskowo Europa mogła skutecznie zablokować inicjatywy amerykańskie np. w Radzie Bezpieczeństwa. Tak stało się z amerykańską rezolucją, która miała przyzwolić na zbrojną interwencję w Iraku.

Dysonans między amerykańską strategią a stanowiskiem znacznej grupy państw europejskich dowodził tym samym ich rosnących aspiracji politycznych, pokusy demonstrowania swej niezależności i osłabiania przy okazji pozycji Stanów Zjednoczonych. Był wreszcie efektem tradycyjnego antyamerykanizmu, który nawet w okresie konfrontacji Wschód-Zachód ujawniał się co jakiś czas z nową siłą, zwłaszcza we Francji i Niemczech. Demonstracje i protesty, jakie ogarnęły Europę wtedy, gdy Waszyngton szykował się do uderzenia na Irak, nie były więc tylko

[23] Zob. I. H. Daalder, *The End of Atlanticism*, „Survival" nr 2/2003, s. 149-150.

wyrazem sprzeciwu wobec polityki Busha, ale dowodziły niechęci do wielkiego supermocarstwa, stanowiły też odreagowanie pewnych kompleksów Starego Świata wobec siły i dominacji Nowego Świata.

Zaś przywódcy niektórych państw europejskich, głównie Francji i Niemiec, czując nieodpartą potrzebę zamanifestowania swojej niezależności w działaniu i odgrywania ważnej woli w polityce globalnej, próbowali zbudować w Europie przeciwwagę dla Stanów Zjednoczonych. Temu służył tzw. front odmowy, który stworzyły Francja, Niemcy i Rosja. Jednak szczególnie niebezpieczny dla pozycji USA w Starym Świecie był kryzys decyzyjny w *NATO*, największy w dziejach tego Sojuszu, do jakiego doszło w lutym 2003 r., w dużej mierze wywołany przez maleńką Belgię, skutecznie jednak wspieraną przez Francuzów. USA musiały uciekać się do proceduralnych zabiegów, aby wyegzekwować wsparcie Paktu dla Turcji (chodziło o dostarczenie systemu obrony przeciwrakietowej na wypadek uderzenia na Irak). Świadomość, że Stany Zjednoczone, przystępując do kolejnego etapu tak ważnej dla nich walki z terroryzmem nie mogą liczyć na swych najbliższych sojuszników, musiała być dla Waszyngtonu niezwykle frustrująca i bolesna. Było to wydarzenie tym bardziej znamienne, że *NATO* stanowi główny filar amerykańskiego zaangażowania w Europie oraz ważny czynnik pozycji USA w skali globalnej.

Gdy więc w marcu 2003 r. Stany Zjednoczone uderzyły na Irak, miały wprawdzie poparcie Wielkiej Brytanii, rządów Australii, Włoch, Hiszpanii, Danii, większości państw wschodnioeuropejskich i różnych dość egzotycznych krajów (np. Wysp Marshalla i Mikronezji), jednak nie mogły liczyć m.in. na Francję, Niemcy, Rosję i znakomitą część europejskiej oraz światowej opinii publicznej. Nawet rządy tych państw, które poparły amerykański atak na Irak, czyniły to wbrew stanowisku większości obywateli. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by Stany Zjednoczone decydowały się na wojnę w takiej izolacji i przy tak ogromnym sprzeciwie w świecie. Równocześnie też wejście Amerykanów do Iraku bez mandatu ONZ i bez szerokiego poparcia było dramatyczną manifestacją doktryny Busha, zrodzonej pod wpływem 11 września.

Wprawdzie obalenie reżimu Saddama po stosunkowo krótkiej i ograniczonej pod względem ofiar kampanii wojennej potwierdziło militarne możliwości Stanów Zjednoczonych oraz zdolność skutecznego ich wykorzystania, ale dla wielu supermocarstwo przestało być wzorcem państwa, szanującego normy i zasady porządku międzynarodowego. Uderzając na suwerenny kraj z przyczyn, które okazały się później tylko niepotwierdzonymi podejrzeniami, Stany Zjednoczone stworzyły niebezpieczny precedens. Narastało więc przekonanie, że oto USA inicjują nowy ład światowy, w którym one decydują za wszystkich, przesądzają, co jest legalne, a co nie, wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego.

Podczas gdy „twarda siła" USA zdominowała światową scenę, budząc nawet przerażenie, to ich „miękka władza" (moralne atrybuty państwa modelowo roz-

wijającego się) – tradycyjnie decydująca w dużym stopniu o sile amerykańskich wpływów w świecie – uległa deprecjacji. W efekcie USA straciły wiele ze swej atrakcyjności, tak ważnej, jeśli chce się na arenie międzynarodowej realizować tak trudne zadania.

Porażki USA na polu przywracania stabilizacji w Iraku i tworzenia choćby quasi-demokratycznego porządku w tym regionie jeszcze bardziej skomplikowały sytuację. Nie udało się uspokoić obaw związanych z amerykańską siłą, ambicjami i pojmowaniem norm międzynarodowych. Zaś terror, rozprzestrzeniający się na ogromną skalę w posaddamowskim Iraku, podważył wiele z atutów amerykańskiej potęgi i kazał wątpić w skuteczność strategii Waszyngtonu. Ponadto wydarzenia w więzieniu Abu Ghraib, gdzie torturowano psychicznie więźniów irackich, pogłębiły rysy na moralnym wizerunku Stanów Zjednoczonych[24].

Administracji Busha nie udało się pozyskać poparcia tych, którzy sprzeciwiali się zbrojnej interwencji w Iraku, zwłaszcza Francji i Niemiec. Częściowo tylko związano amerykańską akcję stabilizowania Iraku z porządkiem międzynarodowym (uzyskano mandat ONZ dla misji stabilizacyjnej, w skład wojsk stabilizacyjnych weszli żołnierze z kilkunastu państw). Pomimo amerykańskich wysiłków i podejmowanych prób perswazji nie zdołano zaangażować *NATO* jako organizacji w misję iracką (niewielkie podjęte zobowiązania w zakresie szkolenia irackich sił bezpieczeństwa raczej potwierdzają niż zaprzeczają temu). Stosunki transatlantyckie pozostały więc w fazie, o której można powiedzieć, że jest jedną z najgorszych w ich historii.

Co więcej, z koalicji wycofała się Hiszpania, ostatnio jeden z najwierniejszych sojuszników Stanów Zjednoczonych, co – pomijając kontrowersyjność tej decyzji (poddanie się szantażowi al Kaidy) – było wyraźnie antyamerykańskim gestem. Pomimo trwania Brytyjczyków, Polaków, Australijczyków oraz innych uczestników misji stabilizacyjnej przy Waszyngtonie, Irak pozostał akcją głównie amerykańską, i do tego o wątpliwym stopniu powodzenia. Zresztą rosnący opór wobec utrzymywania żołnierzy w Iraku, obserwowany w państwach, które wysłały tam swoje kontyngenty wojskowe, powodował, że zupełnie realną stała się perspektywa osamotnienia Stanów Zjednoczonych w Iraku.

NOWA SYTUACJA

Motywowana zagrożeniem terrorystycznym i groźbą proliferacji broni masowego rażenia „doktryna Busha", którą Biały Dom realizował wobec Iraku i Saddama Husajna, zamiast być skuteczną odpowiedzią na groźne wyzwania, zrodziła nowe kłopoty i problemy dla polityki amerykańskiej. Można było odnieść wrażenie, że potęga Stanów Zjednoczonych zaczyna przerażać świat. „Ludzi na całym świecie

[24] M. E. O'Hanlon, *Iraq Without a Plan*, „Policy Review" January 2005.

Przegląd Zachodni, nr 1, 2005 Instytut Zachodni

niepokoi to, że żyją w wieku zdominowanym przez USA – państwo, którego się boją"[25]. Zupełnie nie przypominało to obrazu sprzed ponad półwiecza, gdy potęgę amerykańską podziwiano i poważano, a Stany Zjednoczone cieszyły się ogromnym uznaniem. Teraz nie umiejąc przełożyć swej dominacji militarnej i gospodarczej na systematyczne działania na rzecz tworzenia międzynarodowego konsensusu, USA zatraciły wiele ze swej atrakcyjności, budując wizerunek hegemona, aroganta i unilateralisty, wywołując przy tym strach i obawy. Zmalała natomiast zdolność do kreowania pozytywnego wizerunku – rozumnego przywódcy, który choć działa stanowczo wobec wrogów, to jednak dopuszcza współpracę i opiera się na normach i zasadach akceptowanych przez społeczność międzynarodową.

„Doktryna Busha" wywołała też swoisty wstrząs dyplomatyczny na ogromną skalę, którego efekty najbardziej widoczne były w relacjach amerykańsko-europejskich. Trudno byłoby nie dostrzec faktu, że za ów wstrząs w stosunkach transatlantyckich odpowiedzialnymi byli również niektórzy partnerzy europejscy, którzy powodowani różnymi pobudkami (niekoniecznie tylko wynikającymi z niechęci do administracji George'a W. Busha) zaczęli prowadzić politykę konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi. Niektóre rządy wprost sprzyjały szerzeniu się antyamerykanizmu. Z drugiej zaś strony USA wsparła grupa państw, dostrzegających we współpracy z Waszyngtonem nadal ważny element bezpieczeństwa i tożsamości Zachodu, narażając się przy tym na krytykę ze strony części własnej opinii publicznej oraz innych partnerów europejskich. Tym samym silniej zarysował się podział Europy.

Niechęć wobec polityki amerykańskiej osiągnęła w Europie taki stopień, że popieranie Waszyngtonu stało się politycznie niewygodne dla wielu jego sprzymierzeńców[26]. Różne siły polityczne były gotowe w rozgrywkach na arenie wewnętrznej wykorzystać element antyamerykanizmu i sprzeciwu wobec polityki administracji Busha. Niektóre proamerykańskie rządy znalazły się więc pod rosnącą presją opinii publicznej (często zresztą przesadzającej w swych antyamerykańskich czy antybushowskich reakcjach), opozycji, populistycznych tendencji, krytycznych wobec polityki USA. Coraz trudniej też było im łagodzić różnice i napięcia między Europą a Stanami Zjednoczonymi i w efekcie kraj ten – choć potężny i lojalny wobec sojuszników – stał się partnerem mniej pożądanym, wręcz niewygodnym.

Z kolei antyamerykański front „odmowy" posiadał dużą siłę przyciągania dla różnych – dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy polityczne i bezpieczeństwa – państw. Francja i Niemcy dostrzegły we wspólnej krytyce celów Waszyngtonu, będących dla niego priorytetowymi, możliwość realizacji własnych, partykularnych interesów (uderzała skwapliwość Paryża i Berlina, aby rzucić wyzwanie Waszyngtonowi). Udało im się pozyskać Moskwę, która kierując się

[25] F. Zakaria, *Imperium arogancji*, „Newsweek" 23 III 2003.

[26] P. H. Gordon, J. S. Shapiro, *Istanbul Summit: An Alliance Waiting for November*, „International Herald Tribune" 28 VI 2004.

własnymi kalkulacjami, wykorzystała stosowny moment, aby podjąć próbę wzmacniania swej pozycji w Europie. Choć państwa takie, jak Francja, Rosja nawet we współpracy z Niemcami i Belgią nie mogą stać się konkurentami Stanów Zjednoczonych, to jednak dowiodły, że mogą skutecznie torpedować politykę amerykańską na różnych płaszczyznach, np. Rady Bezpieczeństwa NZ lub Paktu Północnoatlantyckiego, podważając tym samym rangę USA jako jedynego supermocarstwa. Można było odnieść wrażenie, że Stany Zjednoczone budują koalicję nie wokół siebie – jak było w przeszłości – ale przeciw sobie.

Te zróżnicowane i złożone czynniki spowodowały, że USA – po raz pierwszy znalazły się w tak skomplikowanej sytuacji. Sprzymierzeńcy (niektórzy) odsunęli się, a wrogowie zyskali. Stany Zjednoczone doświadczyły bezprecedensowej niechęci, sprzeciwu, nieufności, a nawet nienawiści (dowodziły tego również badania sondażowe)[27], w skutek czego mówi się, że popadły w izolację. Przy czym tej niechęci nie można tłumaczyć tylko bogactwem i potęgą. Decyzja administracji Busha, aby wobec zagrożenia bezpieczeństwa działać zdecydowanie, stanowczo i bezkompromisowo, nie oglądając się na ograniczenia formalne i brak szerokiego poparcia w świecie, ale przy wykorzystaniu bezprecedensowej siły militarnej – miast zdecydowanych sukcesów w walce z zagrożeniami – doprowadziła do eskalacji terroryzmu i chaosu w różnych częściach świata. Zamiast wzrostu i umocnienia rangi USA w świecie nastąpiło podważenie i zakwestionowanie amerykańskiej wiarygodności, a w konsekwencji pojawiły się próby izolowania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej lub sprzysiężenia się przeciwko nim[28].

Analizując obecną pozycję Stanów Zjednoczonych w świecie, a zwłaszcza ich relacje z najbliższymi do niedawna sojusznikami trudno nie postawić sobie pytania, czy w tej sytuacji będą one w stanie podołać zadaniom, które określa dzisiejsza rzeczywistość. Przy czym zadań tych nie można sprowadzać jedynie do kwestii bezpieczeństwa USA, choć bez tego osiągnięcie spokoju w świecie byłoby zupełnie niemożliwe, jako że państwo to pozostaje najważniejszym trzonem międzynarodowego układu. Będąc jedynym supermocarstwem ciąży na nim szczególna odpowiedzialność. Czy wobec tego „doktryna Busha" i wynikające z jej stosowania konsekwencje są najlepszym rozwiązaniem dla problemu terroryzmu, istnienia broni masowej zagłady, „prywatyzacji" polityki zagranicznej i wszelkich, wynikających stąd skutków? Czy światowe mocarstwo może odgrywać rolę globalnego przywódcy, opierając się na strachu i frustracji? Jakie należy podjąć kroki, aby przezwyciężyć złe tendencje, uniemożliwiające znalezienie pozytywnych rozwiązań i osiągnięcie sukcesów w działaniach na arenie międzynarodowej?

---

[27] Zob. M. Bortin, *Poll Shows U.S. Isolation: In War's Wake, Hostility and Mistrust*, „International Herald Tribune" 4 VI 2003; także Ch. M. Sennott, *Rift Between U.S. and Europe*, „The Boston Globe" 9 XI 2004.

[28] I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution...*, s. 43.

Przegląd Zachodni, nr 1, 2005 Instytut Zachodni

Pierwsza i najważniejsza konstatacja sprowadza się do stwierdzenia, że – jak mówi Zbigniew Brzeziński – „Ameryka jest najważniejsza, ale nie wszechmogąca"[29]. Dla sukcesu amerykańskiej polityki w skali globalnej, a zwłaszcza powodzenia w walce z terroryzmem, konieczna jest bezustanna współpraca z państwami na całym świecie. Wprawdzie Stany Zjednoczone w specjalnych okolicznościach mogą działać na własną rękę, własnymi siłami i możliwościami, ale im mniej będzie sojuszników, baz i pozwoleń na przelot nad terytorium innych państw, tym wyższe będą koszty ludzkie i finansowe, a przede wszystkim mniejsze szanse realizacji celów. Działanie w pojedynkę doprowadzi do nadmiernego wyczerpania amerykańskich zasobów, a to oznaczać będzie zejście z pozycji lidera. Powstanie pustka, którą może wypełnić znacznie groźniejsza siła.

Powrót do współpracy – jednego z głównych zadań administracji amerykańskiej – pociągnie za sobą określone implikacje polityczne. Najważniejsza z nich to uznanie znaczenia sojuszu z Europą i podjęcie wysiłku dla jego odbudowy. Nie będzie to zadanie łatwe, gdyż w stosunkach transatlantyckich powstał impas, wyrosły na gruncie rozejścia się celów, interesów i metod działania. Wzmacnia go zaś stan emocji po obu stronach Atlantyku związany z poczuciem rozczarowania, irytacji, niechęci i zawodu, a także powodowany ambicjami politycznymi, poczuciem niezależności i przekonaniem o słuszności swoich działań. „Wszystko to tworzy diabelski napój wzajemnego niezrozumienia" – twierdzi Kissinger[30].

Powrotu do normalności we wzajemnych relacjach nie ułatwi z pewnością zmiana pokoleniowa polityków w państwach europejskich i Stanach Zjednoczonych. Ze sceny politycznej zeszła ta generacja, która tworzyła po wojnie Sojusz Atlantycki i razem przeciwstawiała się zagrożeniu komunistycznemu. Doświadczenie wspólnych zadań i wspólnych działań było niezwykle ważne, aby przełamywać chwilowe zawirowania i spory, których wiele było w latach zimnej wojny. Teraz tego spoiwa zabrakło. W Stanach Zjednoczonych do władzy doszli politycy nie czujący historycznych i emocjonalnych związków z Europą (George W. Bush jr, zanim został prezydentem zaledwie raz czy dwa odwiedził kontynent europejski), ich absorbuje radykalny islam, a nie integrująca się Europa. Zaś politycy ze Starego Świata – w większości wychowani lub urodzeni po wojnie – nie chcą być zobowiązani i wdzięczni Ameryce ani za plan Marshalla, ani za powstanie *NATO* czy pomoc w czasie kolejnych kryzysów berlińskich. Ich uwaga koncentruje się na dyskusjach o przekazywaniu narodowej suwerenności nowym europejskim instytucjom. Nie czują się więc szczególnie zobowiązani do popierania polityki USA, realizującej narodowe interesy związane z bezpieczeństwem.

---

[29] Z. Brzeziński, *Kto jest z nami?* , „Rzeczpospolita" 22-23 XI 2003.

[30] H. A. Kissinger, *Dyplomacja w świecie dżihadu...*; niektórzy obserwatorzy twierdzą wprost, że przepaści euroatlantyckiej nie da się zakopać, np. N. Ferguson na łamach „The Atlantic Monthly" January 2005 (przedruk pt. *Kto przed kim rowy kopie ...*, „Forum" 31 I 2005). Zob. też pracę na ten temat T. Garton Ash, *Free World. America, Europe, and the Surprising Future of the West*, New York 2004.

Pomimo tych niesprzyjających okoliczności pogłębienie dialogu przez Atlantyk wydaje się konieczne. Choć nie uniknie się rywalizacji wynikającej z różnicy interesów i celów oraz postępującej integracji europejskiej, to jednak fundamentalne wartości Europy i USA pozostaną wspólne. Ma to ogromne znaczenie i nie wolno tego zaprzepaścić dla doraźnych, taktycznych celów, dla zaspokojenia ambicji.

Aby przełamać impas, trzeba zmiany postaw przywódców amerykańskich i państw europejskich. Wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych jest znalezienie sposobu uwzględniającego konsultacje i poczucia własnej potęgi. „Nasz sojusz z Europą nie będzie udany, jeśli będziemy tylko narzucać swoje zdanie, grozić lub potępiać tych, którzy się z nami nie zgadzają. Czasami to my mamy rację, czasami rację mają inni" – przekonywał Brzeziński[31]. Istnieje też potrzeba poszukiwania rozwiązań w określonym stylu: trzeba nie tylko przedstawiać doraźne recepty polityczne, ale wspólnie dochodzić do definiowania zagrożeń, celów długofalowych i metod postępowania. Tylko wówczas uda się przełożyć amerykańską dominację na tworzenie międzynarodowego konsensusu, przekształci się dominującą siłę we wspólną odpowiedzialność. Każda inna postawa, zwłaszcza charakteryzująca się arogancją i zbytnią pewnością siebie, niedopuszczania racji partnerów, może doprowadzić do izolacji USA i wyczerpania się ich zasobów.

Z tym wiąże się też przywrócenie atrakcyjności Stanom Zjednoczonym: wniesienie do światowego układu połączenia wielkiej siły z ideową motywacją, a przede wszystkim niekwestionowanymi wartościami. Chodzi o „miękką władzę", czyli promieniowanie przykładem. Wyjątkowa rola Stanów Zjednoczonych w świecie, ich zdolność kształtowania historii nie może opierać się tylko na potencjale militarnym („twarda władza"), lecz na powszechnej wierze w prawowitość i uczciwość tej potęgi. Świat – Europa musi czuć się dobrze i bezpiecznie w obliczu amerykańskiej potęgi, a nie być nią przerażony i prowokowany. Jest to zresztą jeden z warunków akceptacji amerykańskiego przywództwa: nie tylko posiadanie umiejętności rozmawiania i konsultowania, uwzględniania interesów innych, ale również atrakcyjność lidera.

Z kolei stosunek niektórych europejskich sojuszników lub partnerów do USA nie powinien być pełen nadmiernej podejrzliwości, przesadzonych obaw i stereotypowych ocen – trzeba podjąć wysiłek pokonania wzajemnych uprzedzeń, przezwyciężenia małostkowych kompleksów i urazów. Nie może też polegać na blokowaniu i krytykowaniu amerykańskich planów, co czyni się niekiedy po to, aby osłabić pozycję USA, podważyć rolę tego kraju na arenie międzynarodowej, upokorzyć Waszyngton, wreszcie dla własnych partykularnych interesów.

Tak, jak Stany Zjednoczone powinny ponownie zdefiniować rolę siły jako czynnika rozwiązującego problemy międzynarodowe uznając, że musi być ona konfrontowana z procedurami, prawem i oceną innych, tak Europejczycy nie mogą z góry wykluczać siły jako argumentu w rozwiązywaniu sporów. Wprawdzie wojna

[31] Z. Brzeziński, *Kto jest z nami?* ...

jest trudna do powszechnej akceptacji, a pacyfizm stanowi immanentną cechę natury ludzkiej, jednak w świecie dzisiejszych zagrożeń musi istnieć gotowość do skutecznego i odważnego działania. Podobnie w kwestii działania prewencyjnego, które nie jest wcale wynalazkiem amerykańskim, należy dokonać wspólnych ustaleń. Niewątpliwie koncepcja uderzenia wyprzedzającego prowadzi do zderzenia między nowymi realiami a starym pojęciem ładu międzynarodowego. Jednak w świecie terroru i broni masowego rażenia wstrzymanie się z działaniem do momentu faktycznej agresji może już nie wystarczyć dla obrony i bezpieczeństwa. Ale z drugiej strony stosowanie takiego rozwiązania nie może być regułą, pozostawiającą decyzję w ręku jednego państwa – nawet najbardziej demokratycznego i wiarygodnego[32].

NOWE ROZWIĄZANIA

Trudno zakładać, że możliwe będzie funkcjonowanie Stanów Zjednoczonych w dobie obecnych zagrożeń i wyzwań w sposób bezkonfliktowy i bezkrytyczny. W świecie, w którym istnieje tylko jedno supermocarstwo i do tego o takim potencjale, będzie ono budziło gniew i oburzenie, prowokowało do krytyki i prób blokowania jego działań bez względu na to, co uczyni. Niemożliwy wydaje się też powrót relacji amerykańsko-europejskich do poprzedniego stadium, tego z okresu zimnej wojny, gdy przeważała spolegliwość (we właściwym tego słowa rozumieniu) Europy wobec USA, wzajemna solidarność i zaufanie, wreszcie łatwość, z jaką Waszyngton mógł zyskiwać sojuszników gotowych wspierać jego działania. Przywrócenie dialogu jest bardzo ważne, bo tylko wówczas będzie można wspólnie i na nowo określić zarówno zagrożenia, jak i cele oraz metody działania na arenie międzynarodowej[33].

Niewątpliwie terroryzm pozostaje najbardziej oczywistym wyzwaniem dla porządku międzynarodowego. Nie można jednak zapomnieć, że hasło „walka z terroryzmem" odnosi się do spraw abstrakcyjnych, nie wskazuje bezpośrednio, gdzie tkwi problem i wróg. Trudno więc przekonać wielu partnerów i sojuszników, aby uczynili z tego sloganu główny punkt swojej polityki zagranicznej. Zwłaszcza, jeśli nie doświadczyli w tak dramatyczny i bezprecedensowy sposób zderzenia z okrucieństwem al Kaidy, jak Stany Zjednoczone 11 września 2001 r. Posługiwanie się hasłem „walka z terroryzmem" bez definiowania, kto jest wrogiem, nadmiernie zawęża i upraszcza skomplikowany splot przyczyn i uwarunkowań. Nie można wprawdzie negować roli państw i reżimów w popieraniu terroryzmu, jednak istnienie al Kaidy i innych organizacji terrorystycznych nie zależy bezpośrednio od

[32] M. S. Indyk, *How Bush's Doctrine of Pre-emption Was Ambushed by Reality*, „The Age" 26 III 2004.

[33] S. Everts, Ch. Grant, *President Bush: Why You Need the Europeans*, CER Bulletin, Issue 39, December 2004/January 2005.

tego poparcia. „Usunięcie tyranów, choć przyniesie światu korzyść, to wcale nie gwarantuje znaczącego osłabienia terroryzmu" – dowodzili amerykańscy eksperci. Bardziej wymierne korzyści w walce z terroryzmem osiągnie się – ich zdaniem – skutecznie penetrując sieć organizacji fundamentalistów islamskich, rozwijając współpracę z wywiadami w różnych częściach świata, prowadząc wszechstronny monitoring podejrzanych grup[34].

Konieczne jest zatem podjęcie próby wspólnego z Europejczykami zdefiniowania zakresu i charakteru prowadzonej wojny z terroryzmem. Bo w rzeczywistości takiego zabiegu nie przeprowadzono. Dotąd to USA określały cel i oczekiwały wsparcia, a następnie „boczyły się", gdy nie znajdowały na Zachodzie pełnego zrozumienia.

Dyskusja powinna objąć problem Iraku, który stał się centrum zagrożenia terrorystycznego. Powodzenie amerykańskich planów w Iraku leży z pewnością w interesie samych Irakijczyków, ale także tych państw i społeczności, które krytykowały zbrojną interwencję między Tygrysem i Eufratem. Sprawą szczególnej wagi jest bowiem zrozumienie tego, że budowa demokracji w wielonarodowym i wielowyznaniowym społeczeństwie, takim jak irackie, jest bardzo trudna, jeśli w ogóle możliwa. Na Zachodzie demokracja rozwijała się przez wieki, przy czym spełnionych musiało być wiele warunków, musiały nastąpić duże zmiany. Wiele z tych warunków nie zaistniało w islamskim świecie (z wyjątkiem może Turcji), tym bardziej w Iraku, gdzie rządy Saddama jeszcze bardziej skomplikowały sytuację, różnicując i dyskryminując różne grupy społeczne, etniczne i religijne.

W złożonym świecie irackim nie będzie łatwych rozwiązań. Stany Zjednoczone nie uzyskają wojskowej pomocy ze strony swych „odzyskiwanych" partnerów europejskich, żaden z nich nie wyśle swych żołnierzy do Iraku. Jednak podjęcie z nimi dialogu być może przyniesie szerszą międzynarodową akceptację, pozwalającą traktować misję czy to stabilizacyjną, jak twierdzą jedni, czy też okupacyjną, jak utrzymują inni, jako czynnik konieczny i potrzebny, a nie przedmiot krytyki i – w momencie trudności – powód do wątpliwej satysfakcji. Wówczas łatwiej też będzie uporać się z nowymi wyzwaniami, jakie niewątpliwie pojawią się po wyborach w Iraku. Będą one bowiem – bez względu na wynik – początkiem długotrwałej rywalizacji między rozmaitymi grupami. Ważne jest, aby wybrany rząd był przez społeczność międzynarodową postrzegany jako wyraziciel aspiracji ludu, nawet pomimo tego, że będzie funkcjonował przy amerykańskiej obecności.

W innym przypadku, gdy władzę w Iraku przejmą siły radykalne, bo zabraknie amerykańskich żołnierzy, którzy będą mieli dość samotnej walki, lub po prostu Stany Zjednoczone poniosą klęską i kraj pogrąży się w terrorystycznym chaosie, to zawierucha ogarnie cały islamski świat. Czy Europa wtedy będzie czuła się bezpieczniejsza? Pytanie wydaje się być retoryczne. H. Kissinger pisze, że dziś

[34] Zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution...*, s. 46.

Stany Zjednoczone odgrywają rolę „powiernika globalnej stabilności" i trudno się z nim nie zgodzić, jakkolwiek wiele państw – z różnych przyczyn – nie chce tego docenić, a nawet przyjąć do wiadomości[35]. Tym bardziej więc powinny one dostrzec, że w ich interesie leży uczestniczenie w odbudowie politycznej i gospodarczej Iraku. Im większa będzie międzynarodowa akceptacja dla procesu odbudowy Iraku i szerszy w nim udział różnych państw oraz sił, tym bliższy osiągnięcia cel. Choć trzeba pamiętać, że w przypadku Niemiec i Japonii proces ten trwał prawie siedem lat. Trudno wyobrażać sobie, aby w Iraku tyle czasu wystarczyło. Na pewno pierwsze powszechne wybory w styczniu 2005 r., które dały Irakijczykom ważne, choć nie do końca pełne poczucie suwerenności, są dopiero pierwszym osiągnięciem w dążeniu do celu, gdyż dokonanym w cieniu nieustających ataków terrorystycznych. Dlatego tak ważne jest umiędzynarodowienie politycznej przyszłości Iraku. Stany Zjednoczone obaliły Saddama Husajna, ale budowa nowej struktury pokoju wymaga szerszych podstaw.

Ta ostatnia uwaga odnosi się z równą mocą do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, jakkolwiek tylko w pewnym stopniu związanego z zagrożeniem terrorystycznym, to jednak oznaczającego kolejne, ważne wyzwanie zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i Europy. Pytanie zasadnicze brzmi, czy oba te światy zamierzają być dla siebie konkurentem czy partnerem w wysiłkach na rzecz pokoju w rejonie bliskowschodnim. Pytanie to – jeśli kierujemy je w stronę Waszyngtonu – jest o tyle ważne, że dla wielu ekspertów i obserwatorów konflikt bliskowschodni stanowi jeden z głównych czynników wzmacniających nienawiść świata muzułmańskiego do Stanów Zjednoczonych. Podczas gdy Europa uważana jest za rzecznika roszczeń Palestyńczyków, to USA uchodzą za konsekwentnego adwokata Izraela i świata żydowskiego. Nie tylko posiadają strategiczny sojusz z Izraelem, ale także pośrednio wspierają jego politykę okupacyjną wobec Palestyńczyków. Dlatego, gdy cały nieomal świat solidaryzował się ze Stanami Zjednoczonymi po ataku na Nowy Jork i Waszyngton, to na ulicach Autonomii Palestyńskiej, na terytoriach okupowanych w Izraelu oraz w obozach uchodźców w Libanie z radości wiwatowali Palestyńczycy, a Osama bin Laden stał się dla części z nich największym bohaterem.

Niewątpliwie Waszyngton – biorąc chociażby pod uwagę jego ogromną pomoc dla państwa żydowskiego – ma nieporównywalnie większą możliwość oddziaływania na polityków izraelskich, wpływania na realizowane przez nich scenariusze polityczne, zmuszania do pójścia na kompromisy w stosunkach z Palestyńczykami. Dlatego tak ważne jest, aby polityka amerykańska w tym regionie nie sprowadzała się do bezrefleksyjnego popierania działań Izraela i akceptowania najbardziej nawet ostrych form „walki z terroryzmem". „Palestyński terroryzm należy odrzucać i potępiać. Ale nie powinno się to przekładać na politykę popierania coraz brutalniejszych represji, kolonialnego osadnictwa i nowego muru" – pisze Brzezińs-

[35] H. A. Kissinger, *Dyplomacja w świecie dżihadu...*

ski[36]. Trzeba natomiast mobilizować i wspierać te siły, które pragną pokoju i gotowe są pójść w tym celu na kompromis, a nawet wymuszać takie działania.

W przypadku Europy niechęć do Izraela i sympatie propalestyńskie są często efektem nie tyle zrozumienia dla narodu uciemiężonego i pokrzywdzonego oraz antysemityzmu, co postaw antyamerykańskich. Są próbą manifestowania woli własnego – europejskiego sposobu realizowania polityki bliskowschodniej, niezależnego od amerykańskiej strategii i często z nią sprzecznego. Czy słusznie? „Europa winna oczywiście przemawiać własnym głosem, jednak byłoby katastrofą, gdyby posłużyła się bliskowschodnim dramatem, aby utwierdzić własną niezależność. (...) Wiele jest miejsc, gdzie możemy i powinniśmy pokazać, na co nas stać. (...) Nie zaczynajmy od Izraela" – pisał Timothy Garton Ash[37]. Chodzi o względy moralne i historyczne, w których doświadczenie *Holocaustu* odgrywa niebagatelną rolę, nakładające na Europę pewne ograniczenia. Należy też wątpić, czy Europa byłaby w stanie rozwiązać – we własnym zakresie – konflikt bliskowschodni. T. G. Ash powiada, że nie ma na to najmniejszych szans. Wszelkie działania bez Waszyngtonu – protektora Izraela – będą nieskuteczne. Ale prezentując propalestyńskie nastawienie Europa ma możliwość uzupełnienia i korygowania amerykańskiej polityki.

Dlatego tak ważna jest próba wypracowania europejsko-amerykańskiego stanowiska w kwestii bliskowschodniej. Jest to jeden z ważnych warunków przełamania impasu, jaki od wielu miesięcy utrzymuje się w tym rejonie świata. Tym bardziej że odejście Jasera Arafata i nowa kadra przywódcza w Autonomii Palestyńskiej, a także pozytywne sygnały wychodzące z Izraela stwarzają nowe perspektywy dla ożywienia procesu pokojowego. Ważne, aby doceniono znaczenie tej wspólnoty stanowisk. W tym procesie partnerstwo transatlantyckie mogłoby na nowo znaleźć wspólny cel i sens istnienia, osiągając też wymierne korzyści. Bliski Wschód może zmienić się ze strefy przemocy w strefę pokoju. Choć obecnie jest to bardziej marzenie niż nawet najodleglejsza perspektywa, warto podjąć to wyzwanie.

O ile terroryzm i jego pochodne są najbardziej szokującym, wielokrotnie już niestety sprawdzonym w praktyce wyzwaniem dla ładu międzynarodowego, o tyle skutki rozprzestrzeniania się broni masowego rażenia wydają się najbardziej długofalowym i trudnym do wyobrażenia zagrożeniem dla świata. Przy czym jest to zagrożenie, które z równą mocą jak w okresie zimnej wojny angażuje polityków i dyplomatów. Z tą jednak różnicą, że teraz coraz bardziej prawdopodobne jest, że broń jądrowa może znaleźć się lub tak już się stało w dyspozycji państw wyjątkowo groźnych i nieobliczalnych. Korea Północna ze wszech miar zasługuje na miano „państwa bandyckiego", podobnie zresztą jak Iran. Oba te państwa deklarują, że ich głównym wrogiem są Stany Zjednoczone.

---

[36] Z. Brzeziński, *Kto jest z nami?* ...

[37] T. G. Ash, *Atlantyk sięga aż po Izrael*, „Gazeta Wyborcza" 20-21 IV 2002.

Co więcej, globalizacja spowodowała, że zagrożenie proliferacją broni masowego rażenia sięga daleko poza „państwa bandyckie". Arsenały tej broni mogą znaleźć się także w rękach terrorystów i innych równie niebezpiecznych sił. Przy tak potencjalnie szerokim gronie państw i ośrodków dysponujących bronią masowego rażenia wzrasta groźba eskalacji drugorzędnych sporów i przekształcenia się w konflikt o niewyobrażalnych konsekwencjach. Wzrasta możliwość błędu.

Tym silniejsze jest przekonanie, że osamotnione supermocarstwo, poruszające się w świecie niechęci i wrogości nie poradzi sobie z tym wyzwaniem „na własną rękę". Nawet siłowa zmiana reżimów nie rozwiąże problemu. Zastosowanie zaś działań prewencyjnych, np. wobec Iranu mogłaby nasilić najgorsze tendencje w tym fundamentalistycznym i teokratycznym reżimie, poszerzając strefę konfliktową na Bliskim Wschodzie. Konieczna jest więc współpraca z innymi mocarstwami, a Europa odgrywa w tych wysiłkach szczególną rolę. Chodzi bowiem o umiejętne „dawkowanie" zabiegów dyplomatycznych i presji, o zachowanie między nimi właściwych proporcji. Trzeba też wspólnie określić, jakie gwarancje i zachęty możemy zaproponować państwom dążącym do posiadania broni, aby z tych aspiracji – zagrażających bezpieczeństwu świata – zrezygnowały. Jakie formy nacisku akceptujemy i jaką rolę miałaby w tym odegrać siła militarna, gdyby zachęty nie odniosły skutku?

Należy także pamiętać, że czas ucieka i w każdej chwili proces międzypaństwowych rokowań w sprawie kontroli zbrojeń czy rozprzestrzeniania broni masowego rażenia może przegrać z rozwojem wydarzeń. Nie ma więc czasu na spory powodowane względami ambicjonalnymi i kompetencyjnymi. Im więcej amerykańska administracja będzie miała po swojej stronie przyjaciół i partnerów, tym skuteczniej będzie można podołać i temu wyzwaniu. Solidarne i zdecydowane działanie wspólnoty Zachodu to dobry element presji i skuteczna forma perswazji. A amerykański potencjał wojskowy, którego – jak świat mógł się przekonać – Waszyngton nie zawaha się użyć, może stanowić zaledwie jedną z opcji.

Wreszcie ponownego rozważenia wymaga zadanie, które wiąże się z tradycyjnym amerykańskim posłannictwem i amerykańską definicją ładu międzynarodowego. Co najmniej od czasów Thomasa Woodrowa Wilsona żywa jest w USA koncepcja głosząca, że demokratyczne państwa nie prowadzą między sobą wojen, a krzewienie demokracji stało się nadrzędną misją. Nie jest to zatem odkrycie czasów George'a W. Busha.

„Sprawić, by świat stał się bezpiecznym miejscem dla demokracji, zabiegać o prawo głosu dla wszystkich – to szczytne ideały. Ale co począć, jeśli własne społeczeństwo nie chce prowadzić krucjaty za granicą albo gdy społeczeństwa innych krajów nie lubią nas i nie życzą sobie, abyśmy wtrącali się w ich sprawy?" – pyta Paul Kennedy, dotykając istoty problemu[38]. Jednakże promowanie przez USA demokracji w warunkach szerokiej międzynarodowej krytyki, zarzucającej

[38] P. Kennedy, *Balansowanie na cienkiej linie*, „Rzeczpospolita" 17-18 VII 2004.

Stanom Zjednoczonym hegemonistyczną potęgę i kierowanie się misjonarskim duchem krzyżowców wydaje się wprost niemożliwe. Zresztą także trudności piętrzące się na drodze stabilizowania sytuacji w Iraku i wprowadzania tam demokracji są wystarczająco duże, aby uzmysłowić administracji Busha, że istnieje zasadnicza sprzeczność między wzniosłymi koncepcjami promowania demokracji, wolności i dobrobytu a twardymi realiami rzeczywistości i specyfiką lokalnych uwarunkowań. Nawet Kissinger przyznaje, że demokracja musi mieć korzenie w wewnętrznych czynnikach, a zatem będzie rozkwitać tylko tam, gdzie odzwierciedla kulturowe, historyczne i instytucjonalne podstawy[39]. Czy wobec tego USA są w stanie zrealizować swe szczytne cele i kiedy, czy raczej powinny one pozostać jedynie elementem retoryki, upiększającej wystąpienia amerykańskich przywódców?

Odpowiedź jest złożona. Rzecz w tym, że hasła nie tworzą polityki zagranicznej. Dlatego polityka zagraniczna promująca demokrację powinna być dostosowana do miejscowych warunków, gdyż inaczej musi skończyć się fiaskiem. H. Kissinger – zwolennik łączenia interesu i szczytnych celów – powiada, że w sferze dążenia do demokracji i promowania wartości polityka jest, podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach, sztuką tego co możliwe[40]. Trzeba, aby administracja amerykańska nie chciała nazbyt pochopnie angażować się w szerokie interwencje militarne na obszarach odległych, niebezpiecznych i nieznanych, nie mając wcześniej szerokiego poparcia, a także wizji uznającej miejscowe kulturowe i historyczne uwarunkowania. Chodzi raczej o działanie łączące demokratyczne ideały z geopolityczną mądrością[41], co oznaczałoby powrót do postawy i polityki z 1945 r.

Również Europejczycy mają swoje doświadczenie i wiedzę odnoszącą się do różnych rejonów świata, jeśli chodzi o „misję cywilizacyjną białego człowieka". Dlatego ich głos w tej debacie na temat dyplomacji i demokracji jest tak ważny. Jeśli powróci duch wzajemnego zaufania, a przynajmniej wola wsłuchiwania się w to, co ma do powiedzenia druga strona, to może uda się przekonać Stany Zjednoczone, że wprowadzenie demokracji na siłę jest skazane na porażkę. Próby narzucenia zachodnich instytucji krajom w innych częściach świata rzadko kończą się pomyślnie, chyba że Zachód zapewni im długotrwałą ochronę, jak np. dzieje się w Afganistanie, czy na Bałkanach. Dlatego potrzebna jest pomoc sojuszników, którzy wspólnie, a tym samym skuteczniej będą sprawować rolę czasowego protektora.

Europa musi też mieć świadomość, że czekają ją poważne kłopoty, jeśli USA – reagując na złe doświadczenia i porażki – całkowicie zrezygnuje ze swej strategii promowania demokracji. Bo kto zadba o biedne, rozdarte wojnami społeczności,

---

[39] H. A. Kissinger, *Niebezpieczna próżnia*, „Rzeczpospolita" 22-23 III 2004.

[40] Tamże; zob. też I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *Bush's Foreign Policy Revolution: A Radical Change*, „Minneapolis-St. Paul Star Tribune" 26 IX 2004.

[41] P. Kennedy, *Balansowanie na cienkiej linie...*

narody poddane władzy nieludzkich tyranów, mniejszości zdominowane i uciskane przez silniejszych? Zaangażowanie na rzecz demokracji powinno pozostać ważną częścią amerykańskiej polityki zagranicznej, ale również musi w niej być obecny element realizmu i uznania ograniczeń. Chodzi bowiem nie tylko o zasady, ale także o możliwość ich zastosowania.

*

W świecie terroryzmu, zagrożenia bronią masowego rażenia, niedostatku demokracji i różnych tego wszystkiego pochodnych wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych Ameryki jest umiejętność wspólnego działania, godzenie własnej ogromnej potęgi z gotowością do wypracowywania razem z sojusznikami celów oraz metod działania. Europa zaś stoi przed zadaniem uznania ważnej pozycji USA na arenie międzynarodowej, przywrócenia znaczenia sojuszu z Nowym Światem, który tak doskonale sprawdził się w latach zimnej wojny, wykazania gotowości do wspierania amerykańskich działań nie tylko w imię własnych interesów, ale i szczytnych celów. Inaczej Stany Zjednoczone będą coraz bardziej osamotnione, a Europa mniej bezpieczna. Albo też różne koalicje będą prowadzić odrębne negocjacje w różnych sprawach, a świat pozostanie światem zagrożeń i wyzwań, gdyż USA przegra samotną wojnę z terroryzmem – cokolwiek ona oznacza i jakkolwiek szeroki jest jej zakres.

ABSTRACT

The article is concerned with U.S. foreign policy after September 11. It examines the character and consequences of the war on terrorism, as well as the new challenges to American strategy. The paper deals with the following questions:

1. U.S. foreign policy before the 9/11 attacks

2. New generation terrorism and the American reaction

3. Effects – Transatlantic crisis

4. Superpower in isolation

5. New challenges and a new approach

It is argued that the United States cannot act alone, and need partners. A revitalization of the U.S.-European partnership appears to be especially necessary.